
ALIZA WITIS-SZOMRON

dliwości i będę ze wszystkich sił pomagać słabszym. Nie załamie się, bo jest we mnie nieugięta wiara, że ludzie są zdolni znaleźć sprawiedliwość i prawdę. Tę moją wiarę, którą wyniosłam z Ruchu, zawsze będę niosła w sobie i ona wszędzie będzie mi towarzyszyć. Zawsze będę pamiętać słowa Miry, mojej przewodniczki z Haszomer Hacair, o osobistej próbie wytrzymałości.

* * *

Wracam do swojego opowiadania. Pewnego dnia dozorczyń kamienicy, w której się ukrywałam razem z kuzynem Lazarem, zaczęła nas podejrzewać. Nie wiadomo, co było tego powodem. Może nieostrożnie odsunęłam firankę i wyjrzałam na zewnątrz, na bramę, która była naprzeciwko. Może usłyszała jakieś odgłosy z mieszkania, w czasie, kiedy nikogo tam nie powinno być lub był to efekt powszechnej hysterii pogoni za Żydami, którzy uciekli z getta. *Post factum* dowiedziałam się, że policja zmobilizowała wszystkich dozorców dla tego „świętego celu”, a ci współpracowali chętnie, dostając wynagrodzenie za donos na każdego Żyda w swojej kamienicy.

Pewnego dnia zapukał do naszych drzwi jej syn, chłopak może dwunastoletni. W tym czasie wszyscy byliśmy w mieszkaniu: pani Janka i jej upośledzony trzynastoletni syn oraz jej starzy rodzice, moja matka, która była prawnie przypisana do mieszkania Janki, jako sublokatorka, Lazar i ja. Od razu zaczęliśmy szukać schronienia. Lazar wszedł pod łóżko, a ja schowałam się za drzwiami, na których wisiało ubranie.

Chłopak pokręcił się po mieszkaniu pod pretekstem, że przyszedł się pobawić z kaleką, pokręcił się tu i tam, aż nagle rzucił piłeczkę do drugiego pokoju, tam gdzie byłam schowana za drzwiami. Chciał podbiec i otworzyć drzwi, żeby

wyciągnąć stamtąd swą piłkę, ale mama złapała go za rękę i pociągnęła z powrotem. Uśmiechnął się, powiedział grzecznie dobranoc i wyszedł. Od razu zrozumieliśmy, że podejrzewał, że coś niedozwolonego znajduje się za drzwiami. Po pewnym czasie znów dało się słyszeć pukanie do drzwi. To było do przewidzenia, ale nie zdążyliśmy się jeszcze naradzić między sobą, co robić, gdy nagle dozorczyńni weszła do mieszkania. Kobieta w średnim wieku, ubrana w fartuch powiedziała: *Wy tu ukrywacie Żyda. Musi opuścić ten dom natychmiast, bo jak nie, to pójdę na policję.* Mama i pani Janka próbowały jej wytłumaczyć, że to nieprawda, ale ona się uparła: *Widziałam go na własne oczy! Was też rozstrzelają, nie tylko jego.*

Słyszałam jej głos w kryjówce i rozumiałam, że mój los jest przesądzony. Janka próbowała jeszcze dać jej łapówkę, ale kobieta została przy swoim: *Janka musi wyrzucić Żydów ze swego mieszkania!* Z tego, co powiedziała, nie można było zrozumieć, czy ona rzeczywiście widziała kogoś z nas, czy tylko słyszała szmery. Janka powiedziała: *Dobrze, ale niech nam pani da czas do jutra rana, teraz już zapada noc.* Stróżka się zgodziła i wyszła, ale przedtem jeszcze nie omieszkała ostrzec i grozić, że jutro, do siódmej rano ten Żyd musi się stąd wynieść. Wtedy postanowiłam. Powiedziałam mamie, że jadę do Henrykowa, do klasztoru, gdzie znajdują się dziewczęta z ruchu: *Może ja się uratuję, ale Lazar jest mężczyzną i jego zapewne złapią na ulicy.*

Podczas gdy jeszcze rozmawialiśmy, znów ktoś zapukał do drzwi. Lazar zdążył skoczyć pod łóżko, a ja zamierzałam schować się za drzwiami, gdy w pokoju stanęła znowu dozorczyńni z kimś, kto robił wrażenie szpicla z policji. Mama stała blada, a Janka opadła bezsilnie na krzesło. Spojrzałam na matkę i dałam jej do zrozumienia, by milczała. Obie dobrze wiedziałyśmy, że gdy spróbuje powiedzieć coś w mojej obronie, nie ukryje, że jest Żydówką. Co wtedy się stanie

ALIZA WITIS-SZOMRON

z Mirką? Spojrzałam na wszystkich, powiedziałam *dziękuję* pani Jance i wyszłam z tym człowiekiem. Od świeżego powietrza zakręciło mi się w głowie, zapytałam:

- *Dokąd pan mnie prowadzi?*
- *Na policję albo gdzie indziej, ty dupo jedna.*

Nagle uświadomiłam sobie, że to był zwykły „szmalcownik”, a nie policjant. Przestałam się bać, słowa zaczęły mi wypływać z ust w szalonym tempie:

- *Jaką korzyść będzie pan miał z tego, że zginę? Mam dopiero piętnaście lat. Czy jest pan chrześcijaninem? Pójdzie pan do piekła, jak mnie wyda Niemcom.*

Zatrzymał się i wciągnął mnie do bramy:

- *Masz pieniądze?*

Miałam 1000 złotych wszyte w zakładkę sukienki. Była to suma przeznaczona na wszelki wypadek. I oto się zdarzył. Dałam mu wszystko, co miałam. Spojrzał na mnie znacząco i zwrócił mi 500 złotych.

- *Weź, może znów wpadniesz. Dokąd się wybierasz?*
- *Chcę wyjechać do Henrykowa, mam tam dobrych znajomych.*
- *Chodź do mojej siostry, to dobra dziewczyna, a jutro zaprowadzę cię na dworzec.*

Zdziwiona ogromnie, nie przypuszczałam, by chciał mnie oszukać, wierzyłam mu i poszłam za nim posłusznie. Zaprowadził mnie do skromnego, dwupokojowego mieszkania. W powietrzu czuć było zapach kiszzonej kapusty i parówek. Byłam głodna. Kobieta wraz z mężem przyjęła mnie obojętnie. Widocznie nie byłam pierwszą, którą jej brat

„upolował” i podzielił się swoją zdobyczą. Podali mi osobno coś do zjedzenia i nie rozmawiali ze mną. Byłam niespokojna o Lazara i zastanawiałam się, jak będę mogła przekazać mamie, że jeszcze żyję? Bałam się, co mnie jutro czeka, jak dojdę na dworzec, gdzie roi się od szantażystów i szpiclów?

Domownicy zaproponowali, żebym się przespąła na stole i tak jakoś upłynęła noc. Nazajutrz zjawił się „mój człowiek”; jeszcze nie wiedziałam, czy to jest mój wybawca, czy moje nieszczęście. Od razu po przybyciu zapytał:

– *Gdzie są twoje rzeczy?*

– *U tej Polki, która mnie uratowała* – odpowiedziałam z wahaniem, nie wierząc w jego dobre intencje.

– *Dobrze, napisz im kartkę, żeby mi wydali paczkę dla ciebie i pójdziemy na dworzec.*

Nie wiedziałam, czy rzeczywiście zamierza zrobić, co mówi, czy też chce ode mnie wyłudzić jeszcze coś, na przykład moje ubranie. Ale jak będę mogła się przekonać, jeśli nie spróbuję? A poza tym moja kartka do mamy będzie znakiem, że jeszcze żyję. Napisałam natychmiast kartkę do pani Janki, w której prosiłam o paczkę na podróż, bo jadę do Henrykowa. I rzeczywiście, ten goj⁹⁸, który się w końcu okazał tak ludzki – przyniósł mi moje rzeczy i pozdrowienia od moich poprzednich gospodarzy. Byłam szczęśliwa, że mama dostała wiadomość i może się trochę uspokoiła. Uczesałam się z przedziałkiem, co nadawało mi bardziej „aryjski” wygląd. Bałam się tylko, że mój żydowski nos w końcu mnie wyda, on i moje czarne, smutne oczy. Mężczyzna kupił mi bilet i zaprowadził okrężną drogą do pociągu.

– *No, z Bogiem, panienko, powodzenia!*

– *Dziękuję, dziękuję panu. Niech Bóg wynagrodzi.*

⁹⁸ Hebr. nie-Żyd.

ALIZA WITIS-SZOMRON

Pociąg ruszył i po krótkiej podróży przybyłam do Henrykowa. Podeszłam do pewnej kobiety i zapytałam, jak można dojść do klasztoru, a ona pokazała mi boczną dróżkę. Klasztor był otoczony pięknym ogrodem. Poprosiłam, żeby mnie przeorysza przyjęła. W getcie powiedziano mi, że współpracuje z przedstawicielką polskiego harcerstwa w podziemiu, Ireną Adamowicz, dlatego nie spodziewałam się większych problemów. Niestety, przeoryszy nie było i przyjęła mnie jej zastępczyni. Nie wiedziałam, czy też była wtajemniczona. Była to kobieta wyniosła, o chmurnej twarzy. Siedziała za dużym biurkiem i rozmawiała ze mną lodowatym tonem. – *Czego chcesz?* – zapytała. Opowiedziałam jej o mojej tragicznej sytuacji i poprosiłam o schronienie. Nie dałam jej do zrozumienia, że wiem, że znajdują się tu jeszcze inne Żydówki. – *Niestety, nie przechowujemy Żydów. Nie dalej jak przedwczoraj znaleziono w okolicy Żydów i wszystkich rozstrzelano. Nie będę ryzykować dobra instytucji, żeby ciebie ukryć.* Jej słowa były jednoznaczne. – *Najlepiej, żebyś sobie stąd poszła.*

Nie miałam wyjścia, odeszłam rozbita i zrezygnowana. Usiadłam na ławce w ogrodzie. Siostry zakonne radziły mi poszukać noclegu u wójta. Powiedziałam im, że uciekłam z domu, od ojca pijaka, który bije mnie i matkę, i że nie mam gdzie spać. Do wójta oczywiście nie miałam zamiaru iść. Byłam głodna. Było późne popołudnie. Wyszłam z klasztoru, żeby kupić chleb. Niedaleko znalazłam mały wiejski sklepik. Gdy weszłam do niego, wszyscy zamilkli, patrzyli na mnie w milczeniu. Kupiłam bochenek chleba i szybko wyszłam. Szłam wzdłuż torów kolejowych, nie wiedząc właściwie, dokąd pójść, i jadłam chleb. Gdy poczułam zmęczenie, usiadłam na pobliskim kamieniu. Niedaleko zauważyłam mężczyznę w kolejarским mundurze, który się do mnie zbliżał. Siedziałam nadal bez ruchu. Zatrzymał się, popatrzył na mnie i powiedział: – *Dziecino, siedzisz akurat na kamie-*

niu, na którym kilka dni temu zabito trzech Żydów. Nie zatrzymuj się tutaj. Niemieckie patrole często tu się kręcą. Uciekaj! Widzisz to ciemne pasmo na horyzoncie? To są okoliczne lasy. Biegnij tam i schowaj się!

Podziękowałam mu grzecznie i uciekłam stamtąd jak szalona. Weszłam na pole pszenicy. Był koniec maja i kłosa były już dość wysokie, prawie tak wysokie jak ja. Dzień miał się ku końcowi. Szłam w kierunku czarnej linii na horyzoncie. Nogi przestały mnie nieść. Czułam ból na twarzy. Po dłuższym siedzeniu w piwnicy moja twarz cała płonęła i zapewne była mocno zaczerwieniona. Na szczęście zapadła noc i mogłam iść dalej, nie natykając się na wiejskie psy. Ostatkiem sił dotarłam do małego zagajnika. Pragnienie bardzo mi dokuczało, ssalam łądygi traw. Przeczekałam tam dwie noce. Dniami miałam halucynacje, wydawało mi się, że widzę nasze mieszkanie w Warszawie i twarz ojca. Coś do mnie mówił i pocieszał mnie, ale nie mógł mi w niczym pomóc. Dbalam o mój bochenek chleba i jadłam jak najmniej. Trzeciego dnia postanowiłam wrócić do klasztoru i spróbować dotrzeć do samej przeoryszy. Tylko ona mogła mi pomóc.

Znów poczułam w sobie odwagę i siły mi wróciły. Sama się zdziwiłam, w jaki sposób pokonałam tyle kilometrów w drodze powrotnej do klasztoru. Obchodziłam wioski i gospodarstwa, uważałam, żeby się nie natknąć na chłopów pracujących w swych obejściach i na innych przypadkowych przechodniów. Po wielu godzinach dotarłam do torów kolejowych i do tego samego kamienia, na którym siedziałam w drodze do lasu. Stamtąd już z łatwością doszłam do klasztoru. Gdy usiadłam, żeby trochę odpocząć, podeszła do mnie młoda kobieta, która trzymała za rączkę może trzyletnią dziewczynkę, a w drugiej ręce miała dzbanek mleka. Stała koło mnie i popatrzyła mi prosto w oczy.

ALIZA WITIS-SZOMRON

– *Panienko, przecież panienka jest Żydówką, dlaczego się panienka tu kręci, czego panienka szuka? W jej głosie można było wyczuć współczucie.*

– *Szukam matki przełożonej klasztoru w Henrykowie, to podobno litościwa kobieta.*

– *W Henrykowie? Przecież tu nie Henryków, ktoś wprowadził panienkę w błąd. Ten klasztor należy do naszej wioski. Henryków jest dwa kilometry stąd, tam też jest klasztor, o wiele większy od naszego.*

Rozejrzałam się wokoło i zauważyłam napis widniejący przy wjeździe do wioski. Tak, to nie był Henryków. To odkrycie nappełniło mnie nadzieją. Jeszcze nie wszystko stracone! – *Chodź, właśnie idę do miasteczka, pokażę ci drogę.* Wstałam. – *Nie jest dobrze trzymać taką miejską paczuszkę w ręku, od razu zaczną cię podejrzewać. Weź dzbanek, a ja będę nieść tobolek.* Zamieniłam się z nią. Poszłyśmy przed siebie, aż dotarłyśmy do miasteczka i do jego głównej ulicy. Była brukowana, przejeżdżały po niej samochody. Po drodze zauważyłam tablicę Henrykowa. Przede mną był ponury budynek klasztoru, a naprzeciwko niego posterunek żandarmerii niemieckiej. Zatrzymałyśmy się przed bramą klasztoru i małym okienkiem w niej. Kobieta odebrała ode mnie dzbanek, ale gdy sięgnęłam po paczkę, jej twarz nagle się zmieniła i powiedziała: – *I tak nie przeżyjesz, więc po co ci ten tobolek? Dziś albo jutro cię zastrzelą, a ja mam dzieci.* – *Niech mi pani przynajmniej odda ten chleb* – błagałam zmieszana. Widziałam naprzeciwko tych Niemców z posterunku i nie chciałam jej dłużej zatrzymywać. Szybko się oddaliła, ciągnąc za sobą dziecko. Pozostałam sama naprzeciw bramy i Niemców.

Zastukałam do bramy, raz i drugi. Ktoś otworzył okienko, w którym ukazała się jakaś twarz. Wprost nie do wiary, to była Arela z gdudu „Hagalil”, jedna z tych, które się tu ukryły! Przypadkowo była wtedy na dyżurze.

– *Arela, to ja, otwórz szybko, nie mam gdzie się podziać* – szepnęłam przez okienko.

– *Nie można, ja nie mogę, już i tak nas podejrzewają* – patrzyła na mnie zaskoczona.

– *Arela, tylko jedną noc, jutro pomyślimy, co dalej robić. Otwórz szybko. Gdzie są nasi ludzie? Czy są u was ci, którzy uciekli z getta? Powiedz mi!*

– *Tylko grupa Merdka jest w lesie, cała reszta zginęła w powstaniu.*

– *Gdzie ten las, szybko, Niemcy są naprzeciwko.*

– *Nie mam pojęcia, nie szukaj ich. Tutaj nas śledzą i podejrzewają. Uciekaj do lasu.*

Okienko zamknęło się z trzaskiem, twarz Areli znikła, a wraz z nią moja ostatnia nadzieja. Znowu zostałam sama wśród zapadającej nocy. Szybko się stamtąd oddaliłam w kierunku pagórków na peryferiach miasteczka. W domach zapalały się światła. Był sobotni wieczór. Zaczął siąpić drobny deszcz. Doszłam aż na piaski, rosły tam gęste krzaki. Położyłam się na mokrej ziemi, krople wody kapwały na mnie z gałęzi. Próbowałam przypomnieć sobie wszystkie te piękne frazesy z czasów, gdy ukrywałam się w piwnicy: „Nie załamywać się, nie rezygnować, przeżyć!”. Zasnęłam. Obudziłam się z pierwszymi promieniami słońca i poczułam w sobie znowu siłę witalną.

Co może być gorszego od śmierci? Oczywiście tortury. Sama zadecyduję, kiedy umrzeć. Wrócę do Warszawy, odnajdę mamę i spróbujemy znaleźć inne miejsce. A jeżeli nie, pójdę nad Wisłę i się utopię. Ta decyzja wydała mi się tak prosta i naturalna, że nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie wpadłam na nią dotychczas. Śmierć to przecież wyzwolenie! Lżej zrobiło mi się na sercu.

Pozostał jeden problem: jak będę wyglądać w niedzielny poranek w mojej pamiętej, niebieskiej sukience... Gdzie zmyję z siebie to błoto i piasek. Od razu poznają, że jestem

ALIZA WITIS-SZOMRON

uciekającą Żydówką. Nawet grzebyka nie miałam, żeby się trochę przyczesać – wszystko zostało w paczuszce, którą zabrała kobieta. Doprowadziłam się do porządku, na ile mogłam i wyszłam na ulicę. Nie było trudno odnaleźć dworzec w tym małym miasteczku. Kupiłam gazetę i weszłam do wagonu. Powodowało mną jakieś trudne do wytłumaczenia uczucie pewności siebie. Byłam pełna energii i odwagi. Wdałam się w rozmowę z kobietą, która siedziała obok mnie. Wagon był prawie pusty o tej wczesnej godzinie. Mówiłam po polsku gwarą warszawską. Tylko raz o mało nie wpadłam. Podczas podróży przysiadła się do mnie wieśniaczka i zapytała, skąd jadę. Odpowiedziałam, że byłam z wizytą u krewnych pod Krakowem. – Sytuacja jest ciężka przez tę wojnę, czarny rynek kwitnie, a ile tam kosztują jajka? Opowiedziałam jej prawdę, że nie kupowałam jaj, tylko moja ciotka. I tak rozmawiając, dojechaliśmy do Warszawy.

Poranek był pochmurny, niewielu przechodniów kręciło się po ulicach. Podczas trzech lat w getcie zapomniałam zupełnie, jak wyglądają polskie dzielnice, które i przedtem słabo znałam. Szłam ulicami miasta i szukałam adresu Marysi Grzybowskiej, u której mieszkała moja siostra. Pytałam przechodniów, którzy chętnie mi odpowiadali, ale każdy wskazywał inny kierunek. Zabłądziłam do dzielnicy niemieckiej. Młodzież z *Hitlerjugend* maszerowała w szeregach po ulicy i śpiewała. Szybko stamtąd uciekłam i znów wałęsałam się po ulicach. Znienawidziłam to miasto i jego mieszkańców. Koło mnie przechodziły polskie dziewczęta, w moim wieku, z książkami pod pachą, gawędząc wesoło i śmiejąc się radośnie.

Nikt się mną specjalnie nie interesował. Moja pewność siebie wzrosła, szłam z głową podniesioną, patrząc ludziom prosto w oczy. Nawet odważyłam się podejść do polskiego policjanta i zapytać o kierunek. Doszłam wreszcie do właściwej kamienicy i weszłam na piętro. Pani Grzybowska zbladła, gdy mnie zobaczyła. Mirka rzuciła mi się na szyję. Obję-

łyśmy się mocno. Poprosiłam ją, żeby podeszła do mieszkania, gdzie pozostała mama i żeby jej opowiedziała o mnie. Dotychczas Mirka nigdy tam nie chodziła, spotykała się z mamą w parku miejskim. Mama rozplakała się na mój widok. Jak mi później wyjaśniła, twarz miałam spuchniętą i czerwoną od słońca. Wszystko, co zgromadziło się we mnie w ostatnich dniach, wybuchło nagle płaczem ze szczęścia, że znów mogłam się znaleźć w maminych ramionach. Powiedziała mi, że już się więcej nie rozstaniemy, nie bacząc na to, co nam się we trójkę stanie. Nie była gotowa znów przejść to, co przeszła, gdy musiała przypatrywać się beczynnemu, jak zabierają jej córkę. Pozostawiła mnie i Mirkę u pani Grzybowskiej i poszła poszukać dla nas nowej kryjówki.

Leżałam śmiertelnie zmęczona. Twarz mnie paliła, nogi spuchły. Mirka położyła mi mokry ręcznik na twarz. Trzy miesiące jej nie widziałam. Opowiedziała o swym życiu, jako chrześcijańskiego dziecka. Marysia mieszkała razem ze swoim wiecznie pijanym bratem. Mirka spała z Marysią w jednym łóżku i chodziła z nią co niedzielę do kościoła i nawet nauczyła się na pamięć wszystkich modlitw. Podczas zabaw na podwórzu uważała, żeby nie wymknęło jej się z ust coś, co by mogło zdradzić jej prawdziwe pochodzenie. Przed wieczorem mama wróciła. Znalazła miejsce u rodziny Kuligowskich, która mieszkała poza miastem. Pani Kuligowska pracowała u nas przed wojną i zgodziła się przyjąć nas na pewien czas bezpłatnie, aż zdołamy znaleźć coś stałego. Jeszcze tego samego wieczoru, pod osłoną ciemności pojechaliśmy tramwajem na Służewiec.

Dn. 7.VI.43.

Czy to nie dziwne, że ja jeszcze żyję?

Szczęśliwe moje fatum dotychczas mnie prowadziło przez pola, lasy, klasztory, ulice, tramwaje i pociągi, aż w końcu dotarłem za pomocą mojej matki do miejsca.